

Nazaret, lipiec 22 n.e.

Jezus szedł kamienistą drogą wśród pól uprawnych. Zboże już dawno zżęto, gdzieniegdzie schła w słońcu fasola, podorywano rzyska, w gaju oliwkowym kręcili się jacyś ludzie... Widział już pierwsze zabudowania swojego Nazaretu. Pomimo ciężkiego tobołu, który dźwigał na plecach, przyspieszył kroku. Zaraz za drzewkami oliwnymi skręcił w lewo, aby pójść na skróty, spojrzeć na przydomowe poletka. Może kogoś wypatrzy? Ale nie było tam nikogo. Warzywa czekały na zbiór, dojrzałe, usychające. Przeszedł ścieżką, aż wyszedł na drogę i koło studni dojrzał wreszcie swój dom rodzinny. Nieduży, z cegły i kamienia, kryty gontem. Obok drewniana szopa, słyszał już nawet gdakanie kur. Wszedł na podwórze, rozejrzał się i powoli ruszył ku drzwiom. Zapukał i wszedł do środka.

– Mamo? Jesteś? – zapytał, mrużąc oczy.

– Jezus? – Maria siedziała przy swoim małym warsztacie tkackim. – To ty? Naprawdę? – Uśmiechnęła się radośnie do syna, uszczęśliwiona jego widokiem.

– Nareszcie. – Położył na podłodze swój worek i ruszył do matki, która już wstawała z krzesła. – No, jestem. – Objął ją czule i pocałował. – Nareszcie.

– Bogu niech będą dzięki. – Maria ukradkiem obtarła łzy. – Już się nie mogłam doczekać. Jak tylko dostaliśmy list od ciebie, że wracasz, to... no, nie mogłam sobie miejsca znaleźć. Ale ty może jesteś głodny? Zaraz ci coś zrobię. Widziałeś się z tatą? – spytała i już była przy palenisku, rozgarniając resztę żaru i dodając drzazgi. – Zaraz coś ci przygotuję.

– Napiłbym się chętnie czegoś. Chyba jest woda?

– Oczywiście jest. A może chcesz mleka? – Patrzyła w niego jak w obrazek. – Aleś zmęźniał. Przystojny się zrobiłeś w tym greckim ubraniu, no, no...

– Prawdziwy pan doktor – zaśmiał się do niej i uściskał raz jeszcze.

– A jak przyjechałeś?

– A, zachciało mi się przyjść z Ptolemais na piechotę. – Napił się wody z glinianego kubka. – Ale dobre!

– Na piechotę?!

– Jeden chłop podwiózł mnie z pół drogi. A resztę na nogach! Taka była cisza w portach, że statki prawie stały. To i postanowiłem rozprostować kości. Byłem u taty, ale krótko. Będzie tu za dwa dni. Wytargował trochę wolnego.

– A mówił ci, że załatwił dla ciebie pracę, w Ptolemais? – Maria postawiła garnek na ogniu. – Posadę lekarza.

– No tak, tak... A co tu słyszeć? – Usiadł przy stole, cały czas pijąc wodę.

– No... że Rachela i Abram wzięli ślub, to chyba wiesz, tata pisał ci o tym. A i chłopcy lgną do niego. – Maria mieszała coś w garnku, oglądając się na syna. – Przeprowadzili się do matki Abrama. Stara Judyta nie była na początku za młodymi, ale odkąd Rachela jest w ciąży...

– O, nareszcie doczeka się wnuka, co?

– I chłopców polubiła. I nie siedzi wiecznie sama w domu. Tak jak ja teraz. Widzisz, jak to się zmieniło. Jeszcze niedawno tak tu było gwarno, a teraz? Tata przyjeżdża prawie co szabat, ale ja siedzę tu sama.

– Przecież Rachelę masz trzy domy dalej. He, he, he... – Jezus zaśmiał się głośno. – I chłopców też.

– Ale. To nie to samo. To pole, co nam zostało i te oliwki, tata dał w dzierżawę, mamy tylko parę zagonów ziemi: cebula i takie tam... A kto miałby to obrobić? I po co zresztą, jak Józef pracuje w stoczni... Te parę kur i koza, to wszystko, co zostało. No, ale co tam. Aleś ty wypiękniał. – Spoglądała na niego z czułością. – Nasz pan doktor. Zaraz dam ci trochę fasoli, gdybym wiedziała, że dzisiaj będziesz...

– A, a ja mam dla ciebie prezent. – Wstał od stołu i sięgnął po swój worek podróżny. – Piękna suknia, z jedwabiu... – Zaczął wyciągać i kłaść na stół jakieś pakunki. – I dla chłopców, Racheli, zaraz, gdzie ja to mam...

– Ale na co ci te jakieś Indie? Nie mogę zrozumieć. – Maria kręciła głową, nie mogąc się pogodzić z jego decyzją rychłego wyjazdu.

Siedzieli we trójkę w kuchni, już po kolacji, choć na stole były jeszcze różne frykasy. Owoce, ciastka, wino, jak w święto jakieś.

– Wiem. Nie widzieliście mnie kilka lat, stęskniliście się, a tu, zamiast z wami zostać, choćby na jakiś czas, od razu chcę jechać dalej.

– Takie to dziwne? – Wzruszyła ramionami.

– Przecież ja to doskonale rozumiem. I mówię to z bólem. Ale za mało jeszcze rozumiem, umiem, żeby osiąść na stałe. Tutaj, czy gdzie indziej.

– Ale co cię tak niesie? – spytał Józef. – Jesteś już dawno dorosłym mężczyzną. I tak wyfrunąłbyś z gniazda, jak ptak. Jeszcze, gdybyś chciał założyć rodzinę, ożenić się...

– A gdybym został w Aleksandrii? Albo wyjechał do Rzymu, na przykład? Jak często byśmy się widywali? Raz na pięć lat?

– Ale przynajmniej byśmy wiedzieli, co się z tobą dzieje – odparła Maria. – A tak, chcesz jechać gdzieś w nieznany świat, do jakichś dzikich...

– Przecież nie na zawsze.

– A jak ci się tam, nie daj Boże, coś stanie? Jacyś rozbójnicy, czy co?

– Taa... bandyci są wszędzie. I wszędzie cegła może spaść człowiekowi na głowę. – Sięgnął po dzbanek z winem i nalał sobie do kubka. – Chcę poznać wierzenia religijne w Indiach. – Upił trochę. – A jako lekarz zawsze znajdę, tak myślę, pracę i zarobię na utrzymanie. Zresztą, pieniędzy na podróż mi starczy.

– Ja nie wiem... – Maria wstała. – Porozmawiaj z nim jeszcze, Józefie, może ty go jakoś przekonasz.

– Akurat. Że co, że ma załatwioną pracę? Jak sobie już wbił do głowy te Indie, to na pewno mu przemówisz. – Józef kręcił głową.

– No, a co z tą pracą? Tata już załatwił, możesz zacząć praktycznie nawet od jutra.

– Praca, praca... – Józef także nalał sobie wina. – To nie o pracę tu chodzi.

– Musicie się z tym przespać, przemyśleć. Bo nie o tym myśleliście dla mnie. Wiem. Wróć, za parę lat, a i listy przecież będę pisać. Co miesiąc, może dwa.

– I to już tak na pewno?

– Na pewno, na pewno, mamo.

– Przecież ma już prawie trzydzieści lat, kobieto. Zabronisz mu to?

– A ty to byś się zgodził na wszystko, co ci powie. Jak zawsze.

– Et, gadanie.

– Oj, nie smućcie się już tak, bo nie ma o co, no.

– A ja tu sama, już zupełnie jak ten kolek, zostanę.

– Jaka sama? Jest Rachela, są dzieciaki, tata...

– Tak, raz na tydzień. A potem leci, do tych swoich statków...

– Oj, mamo, daj już spokój tym żalom.

– E tam, z wami... – Wyszła, wzburzona.

– No to mamy – podsumował posępnie Józef. Napił się wina. – A jak długo ma cię nie być? Jak myślisz?

– Trzy, cztery lata. Tyle, co w Egipcie.

– Tak, tak. Tamten wyjazd nas cieszył, nie powiem. Zdobyłeś zawód, uznanie i wykształcenie, obycie w świecie...

– No, a teraz jadę to pogłębić. Tak musicie do tego podejść.

– Jasne, jasne. Tylko powiedz to mamie, nie mnie.

– Przemyśli to i przejdzie jej. Wiem, że nie tego oczekiwała po moim powrocie. Ale jest jak jest. Myślałem, że zostanę, zarobię jakieś pieniądze na drogę, zostałbym tu z rok, może dwa... Ale skoro dostałem, że tak powiem, w spadku, to na co mam czekać? A nie minie mi ochota na wyjazd. To wiem. Zostanę jeszcze ze dwa, trzy tygodnie, mam już nawet dokumenty...

– I już?

– Tak. Pokręcę się tu trochę, zobaczę, ile umięją już chłopcy, podpowiem ci, jak ich kształcić dalej... Pobędę trochę z mamą, odwiedzę paru znajomych...

– Aż mama przywyknie do myśli o twoim wyjeździe?

– Tak to wygląda, tato.

Stali przed domem. Maria żegnała go czule. Obejmował ją, ale myślami był już w drodze. Miał wyrzuty sumienia, że ją tak zostawia tutaj, samą, ale pragnienie poznania, obowiązek wobec samego siebie, były większe.

– Tylko pisz często.

– Oczywiście, mamó. – Skłonił się i całował jej rękę. – No, siadajmy. – Józef pocałował Marię w policzek i wsiadł na wózek. – Późno już.

– I wracaj do domu, mój synu.

– Nie obawiaj się, wrócę. – Jezus usiadł obok Józefa. – Za parę lat zobaczymy się znowu. Ale muszę jechać, mamó.

– No, w drogę. – Ojciec cmoknął na osła. – No, Mały. Ruszaj.

– Do zobaczenia, mamó. – Jezus oglądał się jeszcze.

– Niech was Bóg prowadzi. – Maria wycierała łzy.

– Bóg z tobą, mamó. Do zobaczenia.

Tyr, sierpień 22 n.e.

Jezus wyjechał przez bramę miejską, siedząc na małym osiołku. Szeroka droga wiodła wzdłuż okazałych willi, mijał po drodze i pieszych i wozy ciągnięte przez woły. Na pierwszym skrzyżowaniu skręcił na prawo, w kierunku widocznego dużego, piętrowego domu, otoczonego długim i wysokim murem z kamienia. Już z daleka słychać było zgiełk i nawoływania, a przez bramę wyjeżdżał duży, pusty wóz.

– Czy to dom Pyrrasa? – zapytał woźnicę.

– Tak, szykują się właśnie do drogi – odparł tamten, strzelając batem nad wołami.

– Dzięki. – Jezus skręcił w stronę bramy.

Na dużym podwórzu, otoczonym murem, stało wiele wielbłądów, na które ładowano jakieś towary z dwóch wozów. Wokół kręciło się sporo ludzi, pakujących juki. Kilka psów podbiegło z głośnym szczekaniem do Jezusa i jego osiołka.

– Witajcie, czy zastałem Pyrrasa? – zawołał, nie zwracając na nie uwagi.

– A co tam? – Jeden z mężczyzn, szpakowaty, z krótkimi włosami, zbliżył się do Jezusa.

– Czy można się z wami zabrać do Dura Europos?

– Teraz? – zdziwił się. – Bo za dwie godziny wyjeżdżamy. – Mężczyzna poklepał osiołka po pysku.

– Mogę jechać teraz. – Jezus zsiadł z osła. – Jestem Jezus, z Nazaretu. – Ściągnął swój worek podróży. – Niewiele mam bagażu, jak widzisz.

– Nie lubię brać podróży, mówiąc szczerze – uśmiechnął się Pyrras, – ale widzę, że z tobą nie będzie problemów na trasie. Zwą mnie „Szybki Pyrras”, a to dlatego, że czasami i w tydzień pokonuję drogę do Dury. To jest szybko, ale niektórzy nie lubią takiej jazdy.

– Nie jestem ze szkła – odparł Jezus.

– A ja właśnie szkło wiozę. Ale mu się nic nie stanie, he, he, he... – roześmiał się. – Jedna mina – rzekł szybko i poważnie.

– Aż sto denarów? Opuść trochę, tydzień podróży i taki wydatek? – Jezus starał się coś utargować. – Siedemdziesiąt. To i tak będzie dziesięć dziennie.

– Dobra. Możesz jechać za osiemdziesiąt. Bo osiem dni drogi przed nami. Plus dzisiejszy. Jechałeś kiedyś na wielbłądzie? – zapytał Pyrras. – No, jak? – Wyciągnął do niego rękę. – Osiemdziesiąt?

– Osiemdziesiąt. – Uścisnęli sobie dłonie. – Znam wielbłądy, z Egiptu. – Uśmiechnął się Jezus.

– Byłeś na pustyni? – dopytywał się gospodarz. – No chodź, pokażę ci naszą małą karawanę.

– Zwiedzałem piramidy ze znajomymi. – Jezus wziął osła za uzdę i ruszył za Pyrrasem. – Jesteś Grekiem?

– Nie, jestem Fenicjaninem, Tyryjczykiem. Służyłem w syryjskich oddziałach pomocniczych, a jako weteran wziąłem niezłą odprawę. Zaczynałem sześć lat temu z dziesięcioma mułami i dwoma końmi, a teraz, widzisz – przechodzili obok objuczonych już wielbłądów, – mam osiemdziesiąt dromaderów.

– Pyrrasie, a gdzie damy tę ostatnią purpurę, od Epimacha? – Podszedł do nich mężczyzna z przepaską na jednym oku, w tym samym wieku mniej więcej, co przewodnik.

– Też na czerwone, Telesonie, doczep im białe frędzle. Przy studni stoją jeszcze wolne. Mamy podróżnika. To jest, eee...

– Jezus z Nazaretu. – Przedstawił się Jezus. – Jadę do Dura Europos, a potem dalej, aż do Indii.

– Tak daleko? – zdziwili się obaj. – No, to z pół roku w drodze chyba, co?

– No, będzie. Szmat drogi... – Teleson przypatrywał mu się uważnie. – Dużo masz bagażu?

– Nie, tylko to. – Pokazał im worek.

– He, he, he... – roześmiali się obaj. – A pieniądze chociaż masz? – spytał Pyrras.

– Chcesz gotówkę, czy list bankowy? Mam kredyt potwierdzony tu, w Tyrze, u Teofranea, na dwanaście min.

– No, no... – Pyrras kręcił głową. – Nie wyglądasz na bogacza... A osioł jest twój?

– Nie, w banku wysłali mnie do Epimacha, a tam pożyczili mi osła, mówiąc, że może wrócić od ciebie z pustymi wozami.

– A no faktycznie. I problem z głowy – podsumował Teleson. – To mówisz, na czerwone? I dodać białe? Bo to dla dwóch różnych kupców przecież... – Szedł już szybko ku studni, gdzie stały nieobjuczone jeszcze zwierzęta.

– Taa. Przy uprzężach, jak widzisz – wskazał ręką na wielbłądy, – zwierzęta mają kolorowe frędzle. Tak, że wiemy, co mają na grzbiecie. Czerwone wiozą purpurę, wiadomo. Zostaw osła, zajmijmy się nim, a teraz chodź, odpocznij trochę przed podróżą. – Poszli w kierunku domu. – A my zajmijmy się wszystkim. Może coś zjesz przed podróżą? Bo już jesteś pod moją opieką, co?

Siedzieli na wielbłądach, idących parami, całą kolumną, po szerokiej drodze. Było już lekkie popołudnie, słońce stało wysoko na bezchmurnym niebie. W oddali, z lewej strony, widać było morze.

– To, powiadasz, jedziesz do Indii? – zakrzyknął jadący za nimi Teleson.

– Tak. – Jezus odwrócił się do niego. – Dopiero co ukończyłem studia medyczne w Aleksandrii, ale chcę zdobyć jeszcze trochę wiedzy i tam, w dalekich krajach.

– A, to jesteś lekarzem – podchwycił jadący obok Pyrras. – Dobrze wiedzieć. Medyk na trasie zawsze może się przydać. Ale ceny już ci nie zmienię – zaśmiał się.

– Nie, nie. To nie o to chodzi. Nie wiem, czy mi starczy pieniędzy – Jezus trzymał dość luźno wodze, teraz je trochę ściągnął. – Jak będzie trzeba, pojedę jako poganiacz, pracy się nie boję.

– To dobrze, bo to różnie bywa. Prawda, Telesonie?

– No, pewnie.

– Ale jako lekarz zawsze masz przewagę, mów od razu, to i cena będzie niższa, albo i ci nawet zapłacą. Każda większa karawana, co to idzie miesiąc, dwa, chętnie cię przyjmie. Czasami mają nawet i lekarza dla zwierząt. No, co tam, Nero? – zagadał do psa, idącego obok. Ten szedł dalej, merdając ogonem i patrząc na pana.

– I kucharzy, i służących, masażystów, balwierzy... Szczególnie, jak jedzie jakieś poselstwo czy inni ważniacy – dodał Teleson. – Czasem idą w tysiąc wielbłądów. To i musi być odpowiednia obsługa i straż jeszcze.

– Ale idą wolno. Nie to, co my – zauważył Pyrras.

– Mówiłeś, że byłeś żołnierzem?

– Obaj byliśmy, z Telesonem. On trochę przehulał swoją odprawę, a resztę mu wyrwała jego nielegalna żona.

– Jak to nielegalna? – zdziwił się Jezus.

– Bo żołnierzom nie wolno mieć rodziny. Ale kto tam na to patrzy. I to gdzie, tutaj? Daleko od Rzymu?

– A niech ją tam cholera... – Machnął ręką Teleson. – Teraz przynajmniej mam już spokój z babą.

– No. A ja zainwestowałem. W parze z Telesonem jedzie mój pierwszy wyzwoleniec, Paulos. Drugi, Pachos, jedzie z tyłu. I trzech niewolników. Siedem osób, siedemdziesiąt wielbłądów z ładunkiem. Akurat na krótką trasę – wyjaśniał Pyrras.

– Przewędrowaliście pewnie cały świat, co? Najpierw jako żołnierze, a teraz kupcy... – Jezus był pod wrażeniem.

– O, są lepsi od nas – zaproponował przewodnik. – My jesteśmy tylko przewoźnikami. Większość towaru nie jest nasza. Epimach, u którego byłeś, handluje słynną na cały świat purpurą z Tyru. Połowa ładunku to barwnik.

– A mówiłeś coś o szkle jeszcze – przypomniał sobie Jezus.

– Dziesięć wielbłądów wiezie szkło. A te jedenaście pustych dromaderów, z przodu, dostanie swój ładunek jeszcze dziś wieczorem, w Sydonie. Jutro rano ruszamy na całego.

Palmyra, sierpień 22 n.e.

Znowu jechali w szyku dwójkowym, ale teraz byli na głównym trakcie, prowadzącym przez centrum Palmyry. Szeroka, kolumnowa ulica biegła lekkim łukiem wśród typowo greckiej zabudowy. Mijali właśnie nieduży amfiteatr. Wokół było zadziwiająco dużo zieleni, przed teatrem fontanna strzelała w górę wodą, skrzącą się w opadającym powoli słońcu.

A wokół nich huczało wielkie miasto, mijaly ich wozy towarowe, ciężkie od ładunków, ale też i lekkie, eleganckie powozy. Na ulicach pełno było ludzi, spieszących przed zmierzchem do domów. I wszechobecne zwierzęta: wielbłądy, muły, konie, osły, psy... aż zaduch szedł. A miasto było bogate w kamienne rzeźby, kolumny, wspaniałe domy i świątynie. Jakiś konny wyprzedzał ich właśnie, spiesząc pewnie na wieczerzę.

– Ale miałeś minę, jak zobaczyłeś pierwsze palmy, po dwóch dniach na pustyni, he, he... – zaśmiał się jadący obok Jezusa Pyrras. – Każdy tak reaguje pierwszy raz.

– Nagle zrobiło się zielono. Rzeczywiście.

– A jak ci się podoba Palmyra? Po prostu Palma, co?

– Greckie, czy rzymskie miasto na środku pustyni. No, robi wrażenie. – Pokiwał głową. – Już wiem, dlaczego tu nie ma bruku. Kopyta zwierząt są ważniejsze od wygod ludzi, co? – zapytał z uśmiechem.

– No pewnie! Ty wiesz, ile pieniędzy zarobiły wielbłądy dla Palmyry? Niewyobrażalna góra forsy. – Podniósł się na dromaderze i obejrzał za siebie, sprawdzając swoją karawanę. – Będziemy zaraz skręcać. Za tym drugim domem, widzisz, jest zajazd. – Wskazał ręką. – To posiadłość pewnego greckiego kupca. Połowa ładunku purpury jest dla niego. A i ty skorzystasz, bo on może ci potwierdzić twój kredyt. W każdym większym mieście potwierdzaj. Dla pewności. Jego podpis będzie ważny w całej Partii, a może i dalej. – Obejrzał się znowu. – Teleson. – Machnął tamtemu ręką. – Dawaj, dawaj... – Zaczęli powoli skręcać.

Jezus leżał przy dużym ognisku, wpatrując się w rozgwieżdżone niebo. Wokół nich – wydawało się – jest tylko wszechobecny piasek. Ale z oddali dochodziły jakieś głosy, jak gdyby pustynia żyła właśnie nocą. Bliżej słychać było pojękiwania wielbłądów i spokojne głosy ludzi, kręcących się wokół nich. Psy skomlały przy ogniu, czując zapach pieczonego mięsa. A nad tym wszystkim wisiły gwiazdy.

– Pojutrze, w południe, będziemy na miejscu. – Dobiegł go głos Paulosa, obracającego rożen. – A mięsko już dochodzi. Chcesz trochę chleba?

– Nie, dzięki. – Jezus podniósł się nieco i oparł na łokciach, wpatrując się w ogień. – Ależ gorąco dzisiaj było.

– Jak to latem na pustyni. – Paulos odcinał nożem kawałek mięsa. – Gorące, aż usta parzy – mówił, próbując jednocześnie, czy już jest dobre.

– Powiedz mi, Paulosie, jak to jest być niewolnikiem, a potem wyzwolencem? Nie chciałeś opuścić swojego pana?

– Hm. Trudno tak od razu... – zaczął Paulos. – Wiesz, może byłoby inaczej, gdybym choć znał rodziców. A ja jestem porzuconym bękartem. – Zamyślił się, wpatrzony w płomienie. Dobrą chwilę milczeli obaj.

– Świat jest okrutny – ciągnął po chwili. – Niechciane dziecko zostawia się na śmietniku, jak coś zbędnego. – Zajął się znowu mięsem. – Ktoś mnie znalazł i wziął sobie. Po prostu. Z litości czy dla zysku? Dziewczynkę pewnie by zostawili, chociaż, kto wie... A chłopca zarejestrowali jako znajde–niewolnika. Zapłacili podatek i już.

– Ludzie są często okrutni.

– Najwcześniejsze wspomnienia mam z piekarni Kratona, z Sydonu. Ale teraz nie jestem pewien, czy to była zabawa, czy już praca? Chcesz wina? – Sięgnął po bukłak.

– Nie, dzięki.

– A ja sobie należę. Byłem jego niewolnikiem ze dwadzieścia lat. A po jego śmierci dzieci podzieliły majątek i, tak się jakoś śmiesznie stało, a musisz wiedzieć, że gryźli się między sobą... – pociągnął spory łyk, – że w końcu stałem się współwłasnością dwóch braci. Dobrze, nie? A że nie mogli się dogadać, czy mam nadal być piekarzem, czy wysłać mnie do gospody, którą trzymał drugi z braci, w końcu sprzedali mnie i tyle.

– Pyrrasowi?

– Nie. Trafiłem do pośrednika. Właśnie szykował transport do Egiptu. Ale jakoś mnie to ominęło. Niewolnik to taki sam towar, jak zboże czy koń... Pyrras kupił mnie gdzieś po miesiącu.

– A jak to się stało, że cię wyzwolił? To mu się opłacało?

– Wiesz, nie liczyłem na wolność, idąc do niego. Ale on ma wszystko dobrze przemyślane i zorganizowane, jak już sam zauważyłeś pewnie...

– To tak. A, nalej mi wina. – Jezus usiadł.

– Aha... – Paulos sięgnął po bukłak i drugi kubek. – Powiedział mi to zresztą już na samym początku. Że w handlu, tak jak w wojsku, najważniejsze jest zaufanie. Parę lat temu pozbył się jednego z niewolników, bo podejrzewał go o kradzież. On chyba był złodziejem. – Podał Jezusowi napełniony kubek. – Tak myślę. A Pyrras... no... traktuje nas dobrze. Ale wymaga przede wszystkim wierności. I honoru. Mówi – upił łyk wina, – że musi nam bezwzględnie ufać. I odwrotnie. Telesona na przykład wyciągnął z niewoli po jakiejś bitwie. Opowiadali, jak to zakradł

się do obozu wroga, zabił kilku strażników i wyciągnął swoich. Jak ci zaufa, to możesz z nim wszystko... A ja... Cztery lata byłem niewolnikiem, ale Pyrras zapowiedział mi, jak tylko mnie kupił, że woli, abym sam się wykupił i został z nim.

– To znaczy, miałeś mu oddać swoją cenę? – zdziwił się Jezus. – Z czego?

– Cenę, no i podatek od wyzwolenia. Z handlu. Pyrras to firma przewozowa. – Ukroił kawałek mięsa. – No, już dobre. Powiedzmy, pięćdziesiąt wielbłądów przewozi obcy ładunek. Obcy, bo tak mu ufają kupcy. Ładunek, za który mu już zapłacono. Dziesięć dromaderów wiezie jego towar. A każdy z niewolników ma prawo do jednego wielbłąda. To niby niewiele, ale starczy, żeby zacząć. Ja nadal mam jednego, ale za to drogi towar. Skupuję koral i bursztyn, pokażę ci jutro. I możemy zakładać własne rodziny. A jako wyzwoleniec, jestem krewnym Pyrrasa.

– Tym kupuje waszą lojalność?

– Zaufanie. Ufam mu bardziej, niż bratu, gdybym go miał. Mogę na niego liczyć we wszystkim. Do samego końca. Wszyscy zresztą jesteśmy bardzo zgrani. Jak oddział wojska pod jego komendą.

– A masz rodzinę? – ciągnął dalej Jezus.

– Znam taką jedną dziewczynę, chyba coś z tego wyjdzie. Widzisz, Jezusie, z dziecka, znalezione na śmietniku, do własnej rodziny. I wolność. To jest coś. – Kiwnął głową na potwierdzenie. – Ale moje dzieci będą bardzo kochał. – Sięgnął po wino.

Euftrat, wrzesień 22 n.e.

Rzeka płynęła wśród zielonych gąszczy. Kilka dużych, obciążonych łodzi ze sterczącymi w górę, łysymi masztami, płynęło w dół Eufratu, szerokiego już tutaj. Z lewej strony, w oddali, widoczna była długa ściana lasu. Wioślarze pracowali powoli, jedynie pomagając trochę prądowi wody. Ospali sternicy siedzieli na rufach, wypatrując zakrętów i jakichś bystrzy. Na jednej z łodzi siedział, znudzony przeciągającym się spływem, Jezus. A słońce prażyło wszystkich, stojąc wysoko.

– To powiadasz, jedziesz do Indii? – zagadnął sternik, aby zająć czymś język. – Daleko, oj, daleko.

– A co my właściwie wieziemy? – spytał Jezus, wsuwając rękę do przepływającej wody. – Już cztery dni płyniemy, a nawet nie wiem.

– I ja też nie wiem. Towar jest towar. Spytaj Szymona, tego na pierwszej łodzi. Ja tu tylko pracuję. – Ziewnął potężnie. – On tam ma szkło, na łodzi. Zawsze ma cenne rzeczy obok siebie.

– A my? Co wieziemy?

– Jedne worki są twarde i ciężkie, jakby miały piasek. A inne są lżejsze. – Wzruszył ramionami. – Wszystkie są ponumerowane i mają plomby. Tak jak i te skrzynie. Co za różnica? – zamilkł na chwilę. – Daleko jedziesz. O, albo spytaj tego kupca, na ostatniej łodzi. To jego towar. – Kiwnął głową.

– Zawsze tu tak spokojnie? Aż nudno. – Jezus polał sobie głowę wodą.

– Żebyś nie wypowiedział w złą godzinę. Tfu. – Splunął do wody. – Ale tu jest bezpiecznie. Parę lat temu zaczęła w tej okolicy grasować banda Syryjczyków, to ich zmietli. Dosłownie. Wycięli i powywieszali. Za dużo drogiego towaru tędy przepływa. Przynajmniej do Seleucji i Ktezyfonu.

– Ale to już jest nad Tygrysem, słyszałem – zauważył Jezus.

– No, od Seleucji popłyniemy kanałem. Nie trzeba przeładowywać, szlak handlowy do samego Ktezyfonu idzie wodą.

– Dotychczas miałem raczej szczęście do przewodników. Nigdzie nie czekałem, wszystko szło szybko. – Pokiwał głową.

– Jak spojrzysz na jakiegoś człowieka na brzegu, jak jedzie na mule czy koniu – odezwał się jeden z wiosłarzy, – to dopiero wtedy widać, jak szybko płyniemy.

– Ale pod prąd jest gorzej – zaraz zauważył drugi.

– Wiadomo.

Znowu zapadła cisza, przerywana jedynie pluskiem wiosła.

– W Babilonii – zaczął znowu sternik, – na południu, jest miasto Neerda. Podobno stamtąd pochodzą dwaj Żydzi, Asinajos i Anilajos, którzy uciekli na tamtejsze bagna i też utworzyli bandę. I napadali na pasterzy i na kupców. Satrapa babiloński wyruszył przeciwko nim z całą armią, podobno, ale nie dał im rady. Mówili – podrapał się po głowie, – że Partowie zaatakowali ich w szabas, myśląc, że nie będą walczyć.

– Ale satrapa się przeliczył – przerwał mu pierwszy wiosłarz.

– I dostali cięgi – dorzucił drugi.

– A Żydzi tak urosli w potęgę, że aż sam król się wystraszył i zaprosił ich do siebie, na zgodę – dokończył sternik.

– Rzymianie wysłaliby dziesięć razy większy oddział – zdziwił się Jezus.

– A, tu nie Rzym. Wielkie państwo, ale władza Artabana Trzeciego, łaskawie nam panującego, sypie się jak stary worek. Satrapowie i wielmoża się buntują, knują spiski, to mu i na rękę taka silna banda. Może poszczuć jednych na drugich, jak psy.

– Rzym zgniótlby ich od razu – pierwszy wiosłarz poparł Jezusa.

– Wiadomo. I to krwawo.

Znowu zaległa cisza.

– Ale w szabas walczyć, no... Złamali przecież Prawo – zaczął znowu sternik.

– A co, mieli się dać wyciąć, jak jakieś głupie? – oburzył się pierwszy.

– No pewnie.

– Ale prawo jest prawo. – Sternik podrapał się po głowie.

– Sam widzisz, że niektóre prawa są niedopasowane do życia – zaczął Jezus. – Pojutrze jest szabas. I nie możemy podróżować. Ani palić ognia, ani jeść niektórych potraw...

– Ale sobie odpoczniemy – odrzekł pierwszy wiosłarz.

– A niby po czym? Strasznie się napracowałeś, płynąc z prądem, nie? – zauważył kwaśno drugi. – W ogóle możemy nie wiosłować.

– Ale musisz załadować ładunek, nie? – rzekł sternik. – I już złamiesz Prawo.

– A ty sam, jak się ożeniłeś z Partyjką, nie złamałeś prawa? – spytał pierwszy wioślarz.

– Bzdura – oburzył się sternik. – To ci tam, w Jerozolimie, wymyślają głupoty. Hm. Musieliby tutaj trochę pobyc.

– A co, nie mogłeś to wziąć sobie Żydówki? – spytał drugi wioślarz. – Mało ich tu, w Mezopotamii? Albo w Babilonii?

– Wziąłem taką, co mi się spodobała. A Rut, prababka króla Dawida, była Żydówką? Nie. Poganką była. I co? – zaperzył się sternik.

– I nic.

Znowu zrobiło się cicho. Wioślarze machali ospale, a rzeka i krajobraz nie uległy zmianie ani na jotę. Z jednej strony, w oddali, stała ściana lasu, a z drugiej step, pokryty bujną trawą.

– Każą nam płacić po dwie drahmy rocznie na Świątynię, w samej Jerozolimie, a tu nawet nie masz się gdzie pomodlić, tak naprawdę. Wszyscy mają swoje świątynie, Grecy czy poganie, a my? I co, mam jechać miesiąc w jedną stronę, żeby złożyć ofiarę? – Sternik znowu rozpoczął biadolenie.

– W Egipcie zbudowano drugą Świątynię już ponad sto lat temu – zaczął wyjaśniać Jezus. – Bo Żydzi nie mieli gdzie się modlić. W Leontopolis, koło Heliopolis, dużego i starego miasta nad Nilem. W Egipcie jest chyba więcej Żydów, niż w Judei i Galilei razem.

– A i tu jest nas sporo – podjął pierwszy wioślarz. – Modlimy się w domu naszego nauczyciela, słynącego na całą okolicę ze znajomości Tory i mądrości.

– A i po drodze do tych Indii napotkasz niejednego Żyda – dodał sternik. – I niejedną synagogę.

– A wszędzie jesteśmy gnębieni przez Greków i miejscowych – zauważył drugi wioślarz. – Nie lubią nas.

– Wiesz, bo my się niepotrzebnie zamykamy na innych – podjął Jezus. – Nie wolno nam jeść z obcymi, ani tym bardziej się żenić. A pogan mamy uważać za skazanych na zatracenie, jako wykluczonych z Przymierza z Bogiem. A przecież Bóg jest dla wszystkich, wolnych i niewolników, Greków, Syryjczyków, Egipcjan czy nas, Żydów.

– Co też mówisz? Jak nasz Jahwe może być Bogiem dla Parta jakiegoś – oburzył się pierwszy wioślarz.

– Przecież jego też stworzył Bóg. Niby skąd się wziął?

– No... – zamyślił się.

– Wszyscy czekamy na przyjście Mesjasza. I utworzy on królestwo sprawiedliwości bożej. A my dostaniemy, jako naród wybrany, zadośćuczynienie za wszystkie nieszczęścia, które nas dotknęły. Tak nam mówią rabini. A co z poganami? Bóg ma ich wytępić? Czy nawrócą się sami? Przecież Bóg nie jest okrutny, kocha, jak ojciec, wszystkie swoje dzieci. Nawet wielkich grzeszników.

– Dziwne słowa mówisz... – zamyślił się pierwszy wioślarz.

– A dlaczego miałby ich wszystkich zabijać? – zastanawiał się sternik. – Nawrócą się przecież, jak zobaczą Mesjasza.

– A niby jak go mają poznać?

– No,... bo będzie Żydem – zauważył drugi wioślarz. – Jak my.

– I co, ma nawracać mieczem? – zapytał Jezus. – Jeśli Bóg kocha wszystkich? Cnotliwych i grzesznych, pogan i Żydów?

– No nie...

– Dlatego będzie nawracał miłością.